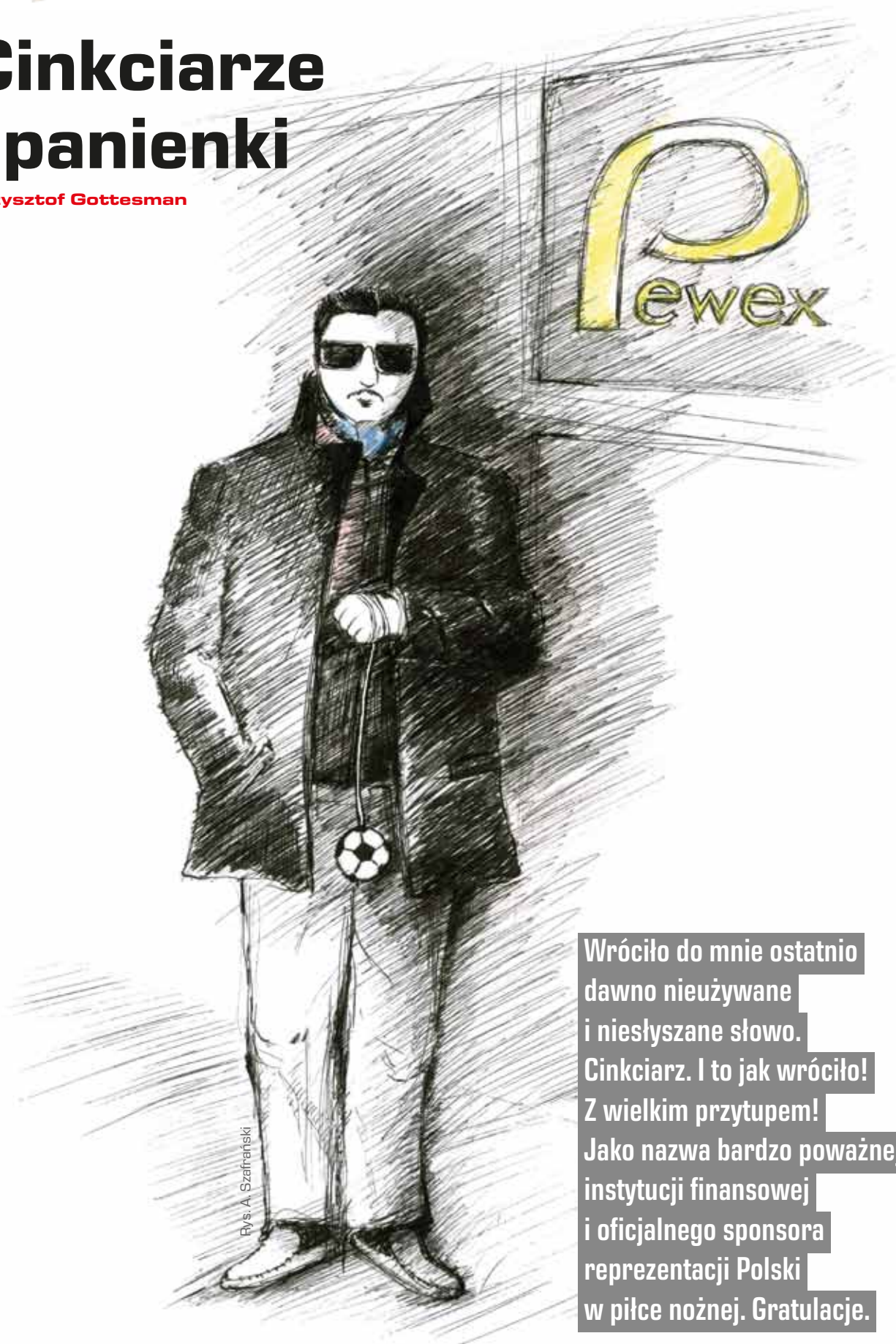


Cinkciarze i panienki

Krzysztof Gottesman



Rys. A. Szafranski

Wróciło do mnie ostatnio dawno nieużywane i niesłyszane słowo. Cinkciarz. I to jak wróciło! Z wielkim przytupem! Jako nazwa bardzo poważnej instytucji finansowej i oficjalnego sponsora reprezentacji Polski w piłce nożnej. Gratulacje.

Change money? Dolary kupię, bony... – tego się nie da zapomnieć. Wypowiadane szeptem słowa witały każdego, kto wchodził w PRL do banku, lepszego hotelu, sklepu PEWEX; na lotnisku, dworcu czy w innych miejscach, gdzie bywali cudzoziemcy i gdzie płacili. Gdzie walutą był dolar. Rodacy też mogli się tych pytań spodziewać. To pytali cinkciarze, mężczyźni, których nie można było z nikim pomylić. Stali na zewnątrz, przechadzali się niespiesznie po holach. Charakterystyczna elegancja, kurtka z postawionym kołnierzem, mokasyny, papieros, a czasami marynarka w pepitkę, fular. Cinkciarzami byli też szatniarze, niektórzy kelnerzy, taksówkarze. W zasadzie mógł nim być każdy, kto miał kontakt z Zachodem.

Bo dolary do Polski przywozili przede wszystkim ludzie z Zachodu: turyści, pracujący u nas specjaliści, dziennikarze. Także dyplomaci, którzy – wymieniwszy po oficjalnym kursie obowiązkowy haracz – korzystali z usług zaufanych cinkciarzy, by wieść dostatnie i przyjemne życie w komunistycznej Polsce. Dolary, marki oraz tzw. bony sprzedawali cinkciarzom również Polacy pracujący na Zachodzie, kontraktach Polservice'u i prywatnych saksach, studenci wyjeżdżający w czasie wakacji. Wreszcie ci, którym rodziny przysyłały wsparcie. W kraju – a taka była ówczesna Polska – w którym kurs rynkowy dolara był wyższy od oficjalnego kilkadziesiąt razy, średnia pensja nie przekraczała dwudziestu dolarów, a pół litra wódki kosztowało kilkadziesiąt centów, czarny rynek był naturalnym regulatorem normalności.

Gdy jako student w drugiej połowie lat siedemdziesiątych wracałem ze zbierania truskawek w Norwegii, mycia naczyń lub malowania mieszkań w Londynie, to kilkaset zaoszczędzonych dolarów przez cały rok wymieniałem stopniowo u zaprzyjaźnionego szatniarza w „Ambasadorze”. Szybko, sprawnie, elegancko. Dzięki temu – jak i większość moich kolegów – byłem

jak na owe czasy niezależny finansowo i choć mieszkalem w domu rodziców, to nie brałem już od nich żadnych pieniędzy.

Żeby ten obrazek nie był zbyt słodki, trzeba zejść na ziemię i powiedzieć o dwóch ciemniejszych stronach cinkciarzy. Pierwsza to tzw. przewały. Gdy w czasie transakcji okazywało się, że odliczona przez cinkciarza suma jest o – powiedzmy – pięćset złotych mniejsza niż uzgodniono, cinkciarz liczył ją ponownie, przeproszał za pomyłkę, ostentacyjnie dodawał brakujące pieniądze i oddawał całość klientowi. Ten, ufając temu, co widział, do tego ponaglany, by nikt nie zobaczył, chował szybko zawiniątko do kieszeni i odchodził. Dopiero po pewnym czasie orientował się, że dostał tylko tych brakujących pięćset złotych, a cała reszta to równo pocięte gazety. Trzeba jednak przyznać, że nie zdarzało się to zbyt często, a już prawie nigdy u zaprzyjaźnionych cinkciarzy. Ofiarami padali zazwyczaj turyści na rauszu, polscy prowincjusze, którzy bali się milicji, i poszukiwacze okazji. Reszta mogła się czuć w miarę bezpieczna.

Tym bardziej – i to jest druga ciemna strona tego zjawiska – że cinkciarze nie mogliby sobie pozwolić na szeroką działalność, gdyby nie przemykanie na nią oka przez milicję i bezpieczeństwo. Funkcjonariusze dostawali na pewno swoją dółkę w pieniądzu, ale nie to było najważniejsze. Wiedza, kto, kiedy, ile wymienia była dla bezpieczeństwa. Zawsze mogła zostać wykorzystana w odpowiednim momencie do szantażu, do zmuszenia do współpracy. I cinkciarze, by móc funkcjonować, dzielili się swoją wiedzą. Istniała pełna symbioza między tymi dwoma światami. Co się pięknie potwierdziło, gdy kończyła się PRL i zaczęła funkcjonować ustawa Wilczka. Pierwsze legalne kantory wymiany walut zakładali byli cinkciarze i esbecy. A było wielu, którzy te dwie profesje udanie łączyli.

I co komuś przyszło do głowy, by do tej tradycji nawiązać, zakładając poważną, jak czytamy w materiałach

reklamowych, instytucję finansową? „Cinkciarz.pl to pierwszy w Polsce kantor internetowy, który umożliwi wymianę 24 walut po bardzo atrakcyjnych kursach” – reklamuje się i zapewnia, że przeszedł odpowiednie kontrole i audyty, oraz że zajmuje znaczne miejsce na liście pięciuset „Rzeczpospolitej”. Czy w ten sposób chcą zdobywać klientów? A piłkarze, choć wiem, że do świętych się nie zaliczają i o cinkciarzach wiedzą sporo, po co się w to pchają?

Jak zobaczyłem pierwszy raz na ekranie telewizora logo firmy, to pomyślałem, że to jakiś żart, później widziałem je na okalających stadiony bandach jako oficjalnego sponsora polskiej reprezentacji piłkarskiej. Czy to tylko głupia nostalgia za PRL, o której kilka razy już tu pisałem? Te wszystkie szynki „jak za Gierka”, bale przodowników pracy, fascynacje pralką Franią i wodą z saturatora. Że „kiedyś to się żyło”. Nostalgia głupia, wcale nie dowcipna i szkodliwa, zacierająca prawdę, wprowadzająca niszczący dzisiaj relatywizm moralny.

Wiem, i sam to mocno w tym tekście podkreśliłem, że cinkciarzy można nazwać wytworem chorego systemu, nawet jego naturalnym naprawiaczem. Ale przecież nie byli żadnym zabawnym folklorem, do którego z przymrużeniem oka można się odwoływać. Byli taką samą patologią jak system, na którym żerowali, i choć sam z ich usług korzystałem, to jestem przekonany, że dżumy nie leczy się cholera. A esbeckie powiązania cinkciarzy tylko to przekonanie wzmacniają.

A może to wszystko nie jest ważne? Proponuję więc piłkarzom, żeby ich wizerunkiem, PR-em, jak się mówi, zajęła się jakaś nowa agencja, na przykład Panienci.pl. Analogie do cinkciarzy są. Panienci były w PRL w każdym hotelu, też obracały dolarami, kontakty z esbecją miały jak najbardziej i też można by na nie dziś spojrzeć z dystansem i sympatią. Na wszelki wypadek powiem, że to była propozycja rzucona żartem. 🍷

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN